

GOLGOTA WSCHODU

- to nie tylko Katyń, Sybir i łagry. To także WOŁYŃ I MAŁOPOLSKA WSCHODNIA. Tak trzeba ją widzieć i rozumieć, a przypominać tym wszystkim, których w imię "poprawności politycznej" ogarnęła ślepotą i bezduszością.

W listopadowe DNI ZADUSZKOWE odnieśmy się ze szczególną pamięcią i wrażliwością do ZIEMI przesiąkniętej męką i krwią niewinnych ludzi, pozbawionych życia przez OBLĄKANÝCH NIENAWIŚCIĄ.

Niech pogłębiona wiedza o tej hekatombie i refleksja ogarnie te biedne mogiły bez krzyża oraz miejsca do mogił niepodobne, zarośnięte zielskiem i krzewami, a szczególnie nieznanymi miejsca dołów, w których pogrzebano wspólnie zmaltretowane szczątki ludzi mówiących lub czujących po polsku.

Niech przeto nasza modlitwa, pamięć serdeczna i cześć wynagrodzą tym setkom tysięcy ofiar LUDOBÓJSTWA OUN-UPA na Kresach Południowo-Wschodnich **brak** - do dnia dzisiejszego - oficjalnych, ogólnopolskich uroczystości upamiętnienia i żałoby, z szerokim udziałem społeczeństwa i władz państwowych.

W listopadowe dni ogarnijmy pamięcią także naszych RODAKÓW

- poległych na polach bitewnych,
- zamęczonych w więzieniach, łagrach i obozach koncentracyjnych,
- rozstrzelanych w Katyniu, i innych "katyniach",
- zamordowanych na Wołyniu i na Wileńszczyźnie.

Stańcie do apelu - Wy wszyscy pomordowani w 17 powiatach woj. TARNOPOLSKIEGO! **I Wy - nie policzeni!** Wiemy, że jest Was drugie tyle.

- 765 osób w 32 miejscowościach pow. BORSZCZÓW,
- 2.859 I" w 34 I" pow. BRODY,
- 1.141 I" w 51 I" pow. BRZEŻANY,
- 1.495 I" w 45 I" pow. BUCZACZ,
- 572 I" w 30 I" pow. CZORTKÓW,
- 516 I" w 40 I" pow. KAMIONKA STR.
- 951 I" w 34 I" pow. KOPYCZYŃCE,
- 877 I" w 43 I" pow. PODHAJCE,
- 663 osób w 39 miejscowościach pow. PRZEMYŚLAŃ,
- 113 I" w 12 I" pow. RADZIECHÓW,
- 643 I" w 36 I" pow. SKAŁAT,
- 1.364 I" w 38 I" pow. TARNOPOL,

- 644	I"	w 35	I"	pow. TREMBOWLA,
- 748	I"	w 32	I"	pow. ZALESZCZYKI,
- 515	I"	w 50	I"	pow. ZBARAŻ,
- 493	I"	w 31	I"	pow. ZBORÓW,
- 504	I"	w 41	I"	pow. ZŁOCZÓW.

Spoczywajcie w pokoju nasi umęczeni RODACY! Niech Waszym cieniem towarzyszy **trwała** pamięć żyjących oraz następnych pokoleń.

* * *

P.S Wielu świadków dopiero u końca swej drogi życiowej, gdy sumienie zaczyna wyrzucać dotychczasową opieszałość, decyduje się ujawnić znane fakty i nazwiska. Będzie więc można po pewnym czasie uzupełnić gromadzony materiał, na podstawie którego powinna powstać KSIĘGA PAMIĘCI OFIAR LUDOBÓJSTWA OUN-UPA NA KRESACH PŁD. - WSCH. II RP.

Kazimierz Simon

Bielsko-Biała

Z mojego pamiętnika - wspomnienia z lat 1940 - 1945 Cz. VII.

Po oswobodzeniu Lwowa od Niemców, zgłosiłem się na wezwanie do Instytutu Sanitarno-Bakteriologicznego, dawnego miejsca zatrudnienia. Dr med. Henryk Mosing pełniący czasowo obowiązki dyrektora zakładu, powierzył mi stanowisko kierownika transportu. Pracowałem tam do 31 XII 1944 r.

W sierpniu tego roku sowieci przeprowadzili w Małopolsce Wsch. pobór do wojska wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, w wieku od 18 do 50 r. życia. Pobór odbywał się w szkole na Bogdanówce, hucznie, z muzyką i tańcami na bolszewicką modłę.

Na terenie Lwowa powołano do wojska wielu pracowników Instytutu Sanit. - Bakt., w tym wykwalifikowane osoby zatrudnione bezpośrednio przy produkcji szczepionki. Prof. Weigl natychmiast interweniował w tej sprawie u władz wojskowych. W grupie wyreklamowanych znalazłem się także ja.

Zarządzałem w Instytucie środkami transportu - samochodami ciężarowymi, zwykłymi wozami i końmi. Ciągła dostawa opału do kotłowni i paszy dla zwierząt doświadczalnych wymagała mojego częstego przebywania w terenie. Potrzebne Instytutowi artykuły kupowało się bezpośrednio od indywidualnych gospodarzy na wsi.

W drugiej połowie stycznia 1945 r. dozorca domu powiadomił mnie o wywiadzie, jaki przeprowadził z nim milicjant na temat mojej osoby, Mieczysława Rajfa oraz kilku innych mieszkańców tego rejonu. Chodziło o zgłoszenie się do rejestracji w RAJWOJENKOMACIE. Milicjant miał ze sobą wykaz nazwisk, na którym - według jego oświadczenia - znajdowały się nazwiska Akowców. Ja i Rajf także byliśmy na niej umieszczeni. (Dozorcy cieszyli się na ogół zaufaniem władz sowieckich).

Wspomniany dozorca był podczas okupacji niemieckiej w szeregach AK, stąd potraktowałem jego informację jako ostrzeżenie. Nie poszedłem więc do domu, ale nocowałem u swego szwagra A. Hassa. Rajf również przeniósł się na nocleg do innej dzielnicy.

Do chwili wyjazdu ze Lwowa (w II. 1945 r.) codziennie "kwaterowałem" w innym miejscu, dwa razy nawet w towarzystwie koni w stajni.

Następnego dnia po ostrzeżeniu udałem się do biura Pełnomocnika, gdzie wydawano "karty ewakuacyjne" na wyjazd do Polski. Dzięki pomocy znajomego członka Komisji otrzymaliśmy z Rajfem potrzebne dokumenty jeszcze w tym samym dniu.

"Repatriacja" odbywała się koleją. Obawiając się kontroli NKWD, zaryzykowałem podróż drogą kołową, końmi. Podobnie postąpił Rajf. Wprawdzie podróż koleją była wygodniejsza, a odjeżdżających żegnano we Lwowie nawet z udziałem orkiestry, ale przed odjazdem pociągu sprawdzano listy pasażerów, co w naszym przypadku nie było wskazane.

Sprzedaliśmy resztki naszego skromnego dobytku za marne ruble i kupiliśmy po parze koni i małym "sztrajferku". Dopomogli nam uczynni ludzie, furman - Ukrainiec i kowal - Polak. Z urzędu parafialnego otrzymaliśmy przez ks. Stanisława Prasola list polecający do proboszczów na trasie naszego przejazdu, z prośbą o udzielenie pomocy **wysiedlonym**.

Pojechaliśmy z rodziną Rajfów na oddzielnych wózkach. Na moim, prócz bagaży i paszy dla koni, jechały: matka Ludwika, szwagierka Zofia Kurdyban i żona Kazimiera, a ja powoziłem. Na drugim - Mieczysław Rajf z żoną Józefą i półtoraroczną córką Marysią.

Mieliśmy poważne obawy przed kontrolą graniczną w Medyce. Obyło się jednak bez kłopotów, poza lekkim podnieceniem nerwowym. Zatrzymaliśmy się około 100 m przed szlabanem. Znając lepiej j. ukraiński, podszedłem z dokumentami do budki kontrolnej. Młodemu lejtnantowi zameldowałem, że jedziemy do Polski i okazałem dokumenty, na które zaczął padać śnieg. Zaproponowałem więc przejście do "kancelarii".

Tam wyciągnąłem z kieszeni kożucha szklanki i butelkę mocnej wódki, i chociaż lejtnant bronił się, że jest na służbie, wypiliśmy obaj "na tę okazję" uderzając dla fasonu szklankami.

Na pożegnanie lejtnant zasalutował, ja zawołałem na konie wioooo! i zniknęliśmy z sowieckiego terenu, jak na razie nazywaliśmy naszą ziemię. Do dyspozycji sympatycznego lejtnanta pozostawiłem pod stołem 3 butelki wódki. Myślę, że szybko ją odnalazł.

Gdy znaleźliśmy się za szlabanem, od razu poczuliśmy się pewniej. W Przemyślu Wojsko Polskie zaopiekowało się nami doraźnie, bo wjechaliśmy na teren koszar. Zaprowadzono nas do żołnierskiego kotła, a ludność cywilna dostarczyła dla dziecka Rajfów żywności i mleka.

Nasza jazda końmi ciągnęła się długo, aż do kwietnia 1945 r. Ostatnim miejscem tej "wycieczki" było miasto Stęszew k. Poznania. Przedtem przymusowy trzytygodniowy postój wypadł nam w Tarnowie, ponieważ koń skaleczył nogę i okulał. Gościnę znaleźliśmy u sióstr zakonnich. Z Rajfami rozstaliśmy się w okolicy Opatowa. Podczas podróży mieliśmy różne kłopoty, ale dzięki pomocy ludności, władz miejscowych i milicji, zostały usunięte. Z dużą życzliwością odnieśli się do nas Poznaniacy, którzy sami wiele ucierpieli od Niemców. Zaopatrzenie w żywność dla nas i paszę dla koni mieliśmy wystarczające. Dużą pomocą na trasie naszej podróży okazały nam wówczas Rady Robotnicze, komisarze majątków, milicja, wójtowie i burmistrzowie małych miast. Z noclegów korzystaliśmy głównie na probostwach, niekiedy we dworach lub prywatnych mieszkaniach dobrych ludzi.

Przejeżdżaliśmy przez następujące miejscowości: Gródek Jagielloński, Lacka Wola, Medyka, Przemyśl, Jarosław, Przeworsk, Łańcut, Przybyszówka, Sędziszów, Dębica, Pilzno, Tarnów, Otwinówka, Boryżewo, Korczyn, Opatowiec, Chmielnik, Niechłowice, Smyków, Ruda Maleniecka, Żarnów, Piotrków, Wielopole, Buczek, Szadek, Kalisz, Witaszyce, Brodowa, Kurnik, Poznań - do Stęszewa. Małych osiedli i wiosek nie wymieniłem, ale każdy nocleg wypadł nam w innej miejscowości. Podróżą byliśmy bardzo wyczerpani, a ja dodatkowo musiałem obsługiwać nasze konie.

Do Stęszewa skierował nas Państwowy Urząd Repatriacyjny w Poznaniu. Władze tego miasteczka otoczyły nas troskliwą opieką.

Raz jeszcze serdecznie dziękuję w tym miejscu za życzliwość i przychylność mieszkańców. Nasze konie oddano pod opiekę roszarni lnu, nam zaś przydzielono tymczasową, ale wygodną kwaterę, zapewniono wyżywienie i zaproponowano osiedlenie się na stałe oraz pracę na terenie miasteczka.

W planach naszych było jednak zamieszkanie w Gdyni lub Gdańsku. Pojechaliśmy więc z żoną koleją na Wybrzeże. Do Gdyni dojechaliśmy wojskowymi samochodami, gdzie u komisarza miasta wylegitymo-

wałem się służbową legitymacją sprzed wojny. Komisarz, oświadczył, że przeszkód w osiedleniu się naszym tu nie ma, ale mieszkanie możemy otrzymać dopiero za kilka miesięcy, ponieważ wolne zarezerwowane są dla przedwojennych mieszkańców Gdyni, którzy zapewne niebawem powrócą z tułaczki. W Gdańsku były z zamieszkaniem trudności, chociaż w Komitecie PPR proponowano mi objęcie pracy w Porcie (oczyszczanie portu z wraków przy pomocy wojska i rozminowywanie terenu). Propozycja ta nie odpowiadała mi, wobec czego wyjechaliśmy z żoną na trasę Katowice - Kraków, naturalnie po wielu rozmowach i informacjach z podobnymi do nas tułaczami. W Stęszewie nadal pozostawały pod opieką tamtejszych dobrych ludzi moja Matka, szwagierka i konie.

Zakończenie wojny 8 maja 1945 r. zastało nas na stacji kolejowej w Bydgoszczy, oczekujących na pociąg do Katowic. Silna detonacja i strzelanina wzburzyła oczekujących na dworcu pasażerów. Kiedy sprawa wyjaśniła się, wybuchł entuzjazm, okrzyki, wiwaty i radość nie do opisania. Wszyscy ze wzruszenia płakali i obejmowali się. Koniec wojny! Koniec wojny!

W Katowicach zgłosiłem się Urzędzie Wojewódzkim przy ul. Jagiellońskiej. Otrzymałem tu dla nas obojga przepustkę zezwalającą na wyjazd na teren Śląska Opolskiego. Otrzymałem też propozycję objęcia stanowiska starosty w Kluczborku. Na tamym terenie trwały jeszcze walki i dojechać do wyznaczonego miejsca trzeba było "własnym sposobem". Nie skorzystałem więc z tej ponętnej propozycji, gdyż nie czułem się na tyle silny fizycznie by pokonać trasę do Kluczborka, a przepustka traciła ważność 31 maja.

Pojechaliśmy z żoną do Krakowa. Tu zgłosiłem się do wicewojewody, który po porozumieniu z PUR¹ skierował mnie do Białej Krakowskiej na stanowisko kierownika Punktu Etapowego PUR, później Inspektora Osadnictwa PUR, w końcu naczelnika tej instytucji.

Urzędowanie w Białej Krakowskiej objąłem już 21 maja, prowadząc szeroko zakrojoną akcję osiedleńczą na Ziemiach Odzyskanych wg otrzymanych instrukcji. Ze Stęszewa sprowadziłem członków mojej rodziny i konie. Władze stęszewskie przydzieliły nam cały wagon kolejowy, do którego załadowaliśmy wóz i konie, a rodzinę zaopatrzone w żywność na dwa, a nawet dalsze dni w nowym miejscu osiedlenia. Doprawdy wspaniali ludzie byli w tym Stęszewie.

c. d. n.

Bogdan Turski
Szczecin

¹ Państwowy Urząd Repatriacyjny.

Powrót do podolskich korzeni

Już od najmłodszych lat interesowałem się historią, poszukiwaniem “skarbów”, odkrywaniem “tajemnic”, ale dopiero w wieku dojrzałym odkryłem największą tajemnicę - swoje podolskie korzenie.

Intrygowała mnie niemożność odpowiedzenia na pytanie: skąd pochodził mój dziadek? Kim byli jego rodzice?

Dziadek Jan (rocznik 1909), zmarły w 1975 roku w Szyszkowie koło Leśnej w woj. jeleniogórskim, nie zdążył przekazać mi tych informacji, byłem wtedy zresztą za młody, żeby cokolwiek zrozumieć. Brak kultuwowania tradycji rodzinnych był główną trudnością w odszukaniu korzeni.

Dzięki dużemu wysiłkowi mojego ojca Romualda (rocznik 1936), urodzonego w Chomiakówce pod Jagielnicą (pow. Czortków) oraz rodzinie zamieszkałej w Sulechowie, otrzymałem ważne wskazówki: rodzina nasza pochodzi z PODOLA, z miasteczka Jagielnicy i okolicznych wiosek: Nagórzanki i Chomiakówki.

Chciałem natychmiast tam jechać, zobaczyć te strony tak mocno zakorzenione w świadomości po lekturze książek Henryka Sienkiewicza, poezji Wincentego Pola i Kornela Ujejskiego. Ale “czas był niedobry”, nieodpowiedni na tego rodzaju podróże.

Wobec tego zabrałem się do szukania śladów mego pochodzenia w różnych publikacjach. Przeczytałem dużą ilość książek historycznych, popularno-naukowych i turystycznych o ziemi tarnopolskiej, ale nigdzie nie natrafiłem na ślady osób noszących nazwisko Turski. Jedynie w publikacji “Poczet szlachty Galicyjskiej i Bukowińskiej” (Lwów 1857) znalazłem lakoniczny zapis: *Turski Michał, wylegitymowany ze szlachectwa² w 1782 r. w sądzie Grodzkim w Trembowli, a syn jego Franciszek Karol, herbu Rogala, był plebanem w kościele Marii Magdaleny we Lwowie.*

Postanowiłem szukać moich przodków od najodleglejszej przeszłości. Nie była to sprawa łatwa, gdyż pamięć ludzka jest krótka i ułomna, ale szczęście mi dopisało, ponieważ zachowały się księgi metrykalne (urodzeń, ślubów i zgonów) z terenu Jagielnicy i okolic.

Pierwsze swe kroki skierowałem do Archiwum Zabużańskiego w Urzędzie Miasta Warszawa-Śródmieście. Nachodziłem pracowników tej instytucji, zanudzałem pytaniami, naprzykrzałem się, ale wreszcie “wy-rwałem” z zakurzonych ksiąg cenną informację. Wiedziałem już, że mój pradziadek miał na imię Józef i urodził się w 1874 r. (zmarł w 1948 r.). Następnie zacząłem korespondować z Archiwum Metropolii Lwowskiej

² Po roku 1772, gdy Galicja znalazła się pod berłem monarchii Austriackiej, szlachta zobowiązana była przedłożyć dowody swego szlachectwa przed właściwymi sądami grodzkimi lub ziemskimi (B.T.).

w Lubaczowie, a później w Krakowie. Dzięki uprzejmości ks. B. Gwoźdźcia i s. M. Uszkowskiej, uzyskałem informacje o kolejnych przodkach i poznałem ich imiona: pra-pradziadka Franciszka (1846-1916), jego ojca Grzegorza (1804-1868) i ojca jego ojca - Michała, najważniejszego dla mnie, bo zamykającego pewien krąg poszukiwań.

Z innych źródeł, tj. publikacji Roberta Bieleckiego "Szwolężerowie Gwardii" (Warszawa 1996) dowiedziałem się, że Michał Turski (zmarły 1839 r.) był lansjerem gwardii, odbył kampanię 1813-1814 (m. in. Dreżno, Lipsk), a w 1814 roku wrócił z pułkiem do Polski.

Poszukiwania wciągały mnie coraz bardziej. Zacząłem przyjeżdżać do Warszawy na dłuższe okresy czasu i korzystać z Archiwum Akt Dawnych. Tu w księgach metrykalnych znalazłem zapisy o swoich przodkach z końca XVII wieku. Te sprawy wymagają jeszcze dokładniejszej kwerendy. Dalsze poszukiwania "w głąb" zostaną już chyba zakończone, ponieważ nie zachowały się księgi metrykalne z okresów wcześniejszych.

W trakcie tropienia śladów rodzinnych doznałem wielu nadzwyczajnych emocji. Oto pod datą 1721 r. znajduję w dokumentach zapis o urodzeniu się Stanisława Piotra Lanckorońskiego, właściciela dóbr Jagielnica, późniejszego kasztelana połanieckiego. A w 1723 r. ochrzczony został Maciej Lanckoroński, późniejszy kasztelan kijowski, wojewoda braclawski i niedoszły kandydat na króla polskiego. W jednej księdze - tuż obok siebie - zapis o urodzeniu się "wielkiego pana" i prostego szlachcica.

Rodzina moja, jak wiele innych z Jagielnicy, a głównie ze wsi Nagórzanka, zaliczała się do drobnej szlachty rustykalnej (czynszowej?, zagrodowej?). Do takiej grupy zaliczył ją pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego Krzysztof Ślusarek w publikacji "Drobna szlachta w Galicji 1772-1848", Kraków 1994.

Wyczerpały się dokumenty w kraju, trzeba więc było wsiąść do autokaru i wyruszyć na Podole. Wycieczka zorganizowana przez p. S. Pagórką z Warszawy, przyniosła mi wiele niepowtarzalnych wrażeń. Zobaczyłem miasta, o których uczyłem się w szkole: Lwów, Buczacz, Jazłowiec, Trembowla, Kamieniec Podolski, i inne. Na każdym kroku ślady polskości, których tak mi brakuje na zachodnich ziemiach obecnej Polski (zwanych w PRL "odzyskanymi"), na których urodziłem się i mieszkam.

Z wielkim napięciem oczekiwałem spotkania z ziemią zawierającą prochy moich przodków. Już w Czortkowie czułem wielkie podniecenie, bo jutro będę na mszy św. w kościele w Jagielnicy, w którym chrzczeni byli moi bliscy.

Nareszcie ta niedziela 2 sierpnia 1998 r. która tak utkwiała w mej pamięci. Po nabożeństwie podeszła do mnie tutejsza kobieta i poinformowała, że w Nagórzance mieszka 83-letnia staruszka, która zwie się Emilia Turska.

Wraz z Mieczysławem Pelweckim (z Warszawy) udaliśmy się na cmentarz w Nagórzance. Ja bezskutecznie szukałem grobów swoich krewnych, a on grobu ojca. Odmierzył odpowiednią ilość kroków od rosnącego drzewa i stwierdził: *tu został pochowany mój ojciec*. Smutny widok... grobu nie ma, jedynie niewielki kopczyk bez krzyża i tabliczki. Później, za odpowiednią opłatą miejscowi postawią tu piękny nagrobek.

Wracam do wioski i zbliżam się podekscytowany do domu, w którym ma mieszkać moja krewna. Ze sporządzonego w Polsce drzewa genealogicznego wynika, że jest to rodzona siostra mojego dziadka Jana.

Znalazłem się w domu wybudowanym w roku 1922 przez pradiadka Józefa. Miłe zaskoczenie, bo dom murowany. (Według tego, czego uczono nas w PRL-owskiej szkole, miały tu być wyłącznie gliniane chaty i słomiane strzechy). Dom przestronny, z gankiem, a jeden pokój umeblowany sprzętami z lat 30-tych.

Witamy się z Emilią bardzo serdecznie. Jest niezmiernie zaskoczona moją obecnością, a ja podziwiam jej zachowany przez lata język polski. Rozmawiamy dużo o rodzinie, chciałyby wiedzieć o krewnych w Polsce. Nie mam dobrych informacji: z jej ośmiorga rodzeństwa żyje w Sulechowie tylko 75-letni Antoni. Znany jest bardziej wśród ludzi jako Tońko, gdyż przed wojną grał w piłkę nożną (na obronie) w Klubie Jagielnickim "Lanckorona".

Spotkanie owocuje poznaniem też starszej siostry Emilii, 85-letniej Genowefy, która wychodząc za mąż za Dmytra (Ukraińca), przyjęła jego nazwisko Różyckij. Pojawia się także młodsza gałąź rodziny polsko-ukraińskiej. Kontakt z nią otwarty i serdeczny, bez żadnych uprzedzeń. Okazuje się, że rodzina rozjechała się po Ukrainie. Mieszkają w Kijowie, Odessie i pobliskim Borszczowie oraz w Skale Podolskiej.

Emilia przekazała mi wiele informacji o rodzinie, otrzymałem też od niej szereg cennych dokumentów liczących często ponad 100 lat. Dowiedziałem się między innymi, że mój pradziadek Józef przetrzymywany był pod koniec pierwszej wojny światowej "za polskość" w więzieniu czortkowskim, a w latach 1921-1932 posiadał 5 mórg ziemi³, później około 14 mórg. Wg mieszkańców Nagórzanki na hektar składało się około 1 i 3/4 morga galicyjskiego. Gospodarz posiadający 4-5 mórg, a w dodatku stałą pracę, nie zaliczał się do biednych.

Wielodzietna rodzina wymagała jednak nakładów na jej utrzymanie, a także określonych podziałów ziemi. Pewnym nakładem środków pieniężnych wykształcono (w latach 20-tych) pierworodnego syna Franciszka na czeladnika stolarskiego, w zakładzie majstra Leibschwarzbar-da w Jagielnicy.

³ Morga - miara powierzchni gruntu w różnych państwach różnej wielkości, w Polsce około 56 arów. (Przyp. red.).

Mój dziadek Jan, czwarte dziecko z kolei, poszedł "na swoje" i zamieszkał w Chomiakówce, w sąsiedztwie rodzin: Gutkowskich, Samborskich i Jana Wierzbickiego - komendanta "Strzelca". Po odbyciu w latach 30-tych służby zasadniczej w Brygadzie KOP "Podole" (gdym jej d-cą był płk dypl. Stefan Rowecki), dziadek Jan zatrudnił się na kolei w Jagielnicy. Mając działkę w ramach deputatu kolejowego i kawałek ziemi oraz stałą pracę, mógł utrzymać rodzinę (w wolnych chwilach na podwórzu, po którym biegała biała suka w czarne łatki - "Figa" - kręceno powrozy).

Żona mojego pradziadka Franciszka, z domu Ulicka, pobierała nauki w Czerwonogrodzie; ojciec jej mieszkał w Buczaczu. Siostra Maria po wyjściu za mąż za Sorokowskiego mieszkała w Czortkowie. Jej mąż służył w czasie II wojny światowej w Brygadzie Karpackiej i poległ w 1940 r. w Egipcie, gdzie został pogrzebany.

Emilia Turska, nie wychodząc za mąż, zachowała rodowe nazwisko i dzięki temu trafiłem po latach do jej domu. W innych okolicznościach na pewno nie odszukałbym rodziny i nie połączył jej od nowa po rozstaniu w jesieni 1945 roku. Wtedy część rodziny wyjechała w ramach wysiedlenia Polaków na zachód Polski, a część pozostała na Podolu. Były to głównie kobiety, które powychodziły za mąż za Ukraińców.

Do przesiedlonych, dołączyli z czasem w Polsce walczący w szeregach LWP oraz powracający z Niemiec dwaj Turscy - Antoni i Kazimierz - Kawaler Orderu Virtuti Militari. Wszyscy z rodzinami osiedlili się w Szyszkowie k. Leśnej, w Jeleniej Górze lub w Sulechowie. Ja z ojcem mieszkamy w Szczecinie.

Odnajdując rodzinę, zamknąłem jakby jakieś koło dziejowe przerwane na skutek wojny i wypadków powojennych.

W czerwcu 1999 r. pojechałem ponownie na Podole. Wycieczkę pielgrzymką zorganizowała p. R. Sokołowska z Warszawy. Była to już inna wyprawa i nie wywarła na mnie tak mocnego wrażenia jak ta pierwsza.

Ale będę tam wracał, bo coś mnie tam stale ciągnie, a poza tym potrzebny jestem tamtejszym krewnym, którym obecnie tak ciężko się żyje. Podczas każdej wyprawy robię filmy video, które stanowią dla mnie pamiątkę, a dla przyszłych pokoleń będą być może źródłem wiedzy o Podolu.

W trakcie moich przygotowań do podróży i podczas nich poznałem wielu wspaniałych ludzi, i dzięki ich opowieściom wzbogaciłem swoją wiedzę o Podolu. Chciałbym wymienić tu Zbigniewa i Kazimierza Hołubowiczów (odznaczonych w 1994 r. medalem "Sprawiedliwy wśród narodów świata"), Stanisława Rakowskiego - autora książki "Wspomnienia z kresowej osady Kościuszkówka na Podolu", Kazimierza Kozaka - syna uczestnika powstania czortkowskiego w 1940 r., Zbigniewa Walcharza, Kazimierę Wierzbicką-Augustyniak.

Jestem również członkiem Klubu "Podole" w Warszawie, który działa w ramach TMLiKPW.

Jako historyk i bibliofil, chciałbym na koniec zaapelować do osób posiadających jakieś dokumenty i fotografie z Jagielnicy i okolic o wypożyczenie mi ich dla zrobienia odbitek. Zbieram bowiem materiały do monografii tej miejscowości.

Mój adres do korespondencji:

Bogdan Turski
ul. Turkusowa 31/23
70-778 Szczecin

Irena Kotowicz
Warszawa

O tragedii w Skorodyńcach (pow. czortkowski) na Podolu cz. IV - ostatnia

Mój ojciec Ludwik - dodaje Wiktor Chmieluk w przesłanej relacji o tragedii w Skorodyńcach⁴ - i cała nasza rodzina cudem uniknęliśmy śmierci. Ojciec przez cztery lata musiał ukrywać się poza domem, przeważnie w Białym Potoku lub w Czortkowie. Przed wojną był komendantem Związku Strzeleckiego w Skorodyńcach, i aktywnie uczestniczył w społecznym życiu wsi.

Kilka razy uniknął śmierci, a my - Mama i trójka dzieci - doznawaliśmy wielu upokorzeń. Pamiętam, że dwa - trzy razy dziennie przychodzili po ojca miejscowi nacjonaliści ukraińscy. Gdy jedna grupa odchodziła, już druga pojawiała się zniecka. Przeważnie było to 3 -10 uzbrojonych mężczyzn. Przeszukiwali zabudowania, grozili bronią przykładając ją nam do głowy lub do piersi i domagali się wydania ojca. Różnie się to kończyło, niejednokrotnie biciem, najczęściej Mamy.

Nocowaliśmy stale poza domem. Zimą u różnych ludzi, także Ukraińców, bo i wśród nich byli ludzie dobrzy. Wiele razy niemal ocieraliśmy się o śmierć, gdy np. byliśmy ukryci w mieszkaniu, a przez całą noc "gościli" w tym domu banderowcy. Bo oni wychodzili ze swych kryjówek nocą, aby ogrzać się i najeść. Wystarczył jeden nieostrożny ruch dziecka aby zdradzić miejsce ukrycia, a wtedy wszystkim groziła śmierć. To były bardzo ciężkie lata.

W zebranych relacjach przedstawiono pokrótce przeżycia kilku osób dla pamięci potomnych. Podobne przeżycia miały matki w naszej i w innych wsiach. Przez sześć długich lat (1939 -1945) żyliśmy w ciągłym

⁴ "Głosy Podolan", nr.40-42/2000 r. (Przyp. red.).

napięciu, przeżywając swoje dramaty. Te okrutne czasy ciągłego zagrożenia życia, tułaczki, nękania głodem i zimnem, wielu ludzi przepłaciło zdrowiem, a nawet życiem, tylko dlatego że czuli się Polakami, że OUN realizowała swój nacjonalistyczny obłądny cel rękami zbrodniarzy.

To bardzo dziwne, że oprawcy do tej pory nie ponieśli żadnej odpowiedzialności za ludobójstwo. OUN i UPA od samego początku były organizacjami nielegalnymi i zbrodnymi. Z ich rąk zginęły setki tysięcy niewinnych ludzi, także tych najbardziej bezbronych - dzieci, kobiet i ludzi starych.

Wielu z tych zbrodniarzy żyje jeszcze do dziś w zachodnim świecie, również w Polsce. W niektórych środowiskach uchodzą nawet za "bohaterów". Stawiają sobie pomniki, bezczelnie zmieniają fakty, a zbrodniarzami czynią swoje ofiary.

Bolesne jest nad wyraz, że wielu naszych polityków zamiast dążyć do ukazania prawdy ulega wpływom nacjonalistów ukraińskich i za judaszowy grosz pomaga realizować cele prowody OUN. Dotyczy to również niektórych naszych "naukowców". Mamy niestety w kraju wiele takich przykładów.

Kontynuując za Wiktorem Chmielukiem ten bolesny temat, pragnę uzupełnić go dodatkowymi relacjami: Piotra Kurasiewicza, Władysława Rachańskiego, Kazimierza Sołtysa i Wiktora Szatkowskiego (drukowanymi w nr 45 "Na Rubieży") oraz nadesłanymi przez Teofilę Solecką wspomnieniami Stanisławy Czarneckiej (z domu Szatkowskiej). Każde z nich porusza bowiem inny aspekt tej ponurej zbrodni w Skorodyńcach.

W dzieciństwie, w czasie kiedy rodzice moi pracowali w tamtejszej szkole, znałam we wsi kilka rodzin; najbliższą rodzinę Jana Kurasiewicza - jego żonę Marię i obu synów: Piotra (niemal rówieśnika) i starszego Antosia. Byliśmy z tą rodziną zaprzyjaźnieni, ja zaś wiele miłych chwil spędziłam w ich domu i zachowałam we wspomnieniach. Luźniejszy kontakt utrzymywaliśmy także później, gdy rodzice pracowali już w Czortkowie oraz w czasie wojny.

Zapamiętałam też w najdrobniejszych szczegółach całą wieś, te pięknie położone Skorodyńce i rzekę Seret, i kiedy odwiedziłam je na parę godzin w 1997 roku, nie miałam żadnych trudności z odnalezieniem miłych sercu miejsc.

Nie znałam wtedy jeszcze tych tragicznych wydarzeń i spotkanie ze wsią było tylko błogim przypomnieniem obrazów z dzieciennych lat. Tym boleśniej przeżywam więc teraz wszystkie szczegóły podane w relacjach naocznych świadków zbrodni, towarzysząc w wyobraźni nieszczęsnym ofiarom w ich drodze na miejsce kaźni.

Mówi Piotr Kurasiewicz, s. Jana: *7 lipca 1941 r. przyszedł wieczorem do naszego domu Ukrainiec Antoni Bałabuch. Zabrał mego ojca*

(l. 48) na przesłuchanie do "Selrady". W tym samym czasie inny banderowiec zabrał na podobne przesłuchanie Franciszka Sitko (ur. w 1919 r.).

Po przesłuchaniach Polacy skazani zostali na śmierć. Taki wyrok dostał mój ojciec mimo, iż nie udowodniono mu żadnej winy. Musiał zginąć ponieważ był Polakiem. Jeszcze tej samej nocy został zamordowany na Seretem, w miejscu zwanym "jamą Podrucznego". Franciszek Sitko także zakłuty został bagnetami nad Seretem, w pobliżu mostu prowadzącego do wsi. Po trzech dniach zwłoki ojca przepłynęły rzeką do wsi Biała pod Czortkowem. Młynarz rozpoznał ojca i dał nam znać. Siostra ojca - Zofia Szczepańska - udała się do "Selrady" z prośbą o zezwolenie na zabranie zwłok brata. Wydał jej takie zezwolenie przedstawiciel "Selrady" Pawło Czubak.

Pojechałem wówczas do Białej w towarzystwie kolegi Stefana Stelmaszczuka. Ułożyliśmy ciało ojca na wozie i wracaliśmy do Skorodynec. W połowie drogi do wsi zatrzymało nas dwóch uzbrojonych banderowców - Anton Słoik i Mykoła Filkewycz. Kazali zrzucić z wozu zwłoki ojca. Ponieważ zawahałem się, zbliżył się do mnie jeden z nich i powtórzył polecenie. Drugi odwołał mego kolegę i coś mu nakazywał. Wtedy Stefan powiedział do mnie: zrzucimy ciało, żebyś mógł żywy stąd odjechać. Owinięte w prześcieradło zwłoki złożyliśmy na skraju drogi i szybko odjechaliśmy. Jak się później dowiedziałem, ciało ojca odciągnięto nad brzeg Seretu i w nieznanym mi miejscu zakopano.

Cztery lata później, w marcu 1945 r. - banderowcy dokonali napadu na dom mojej 22 -letniej bratowej, Franciszki Kurasiewicz. Została zamordowana wraz z 2- letnią córeczką. W tym czasie mój brat walczył z Niemcami na froncie. Jej 10 - letni brat Tomasz ocalał dzięki dwom sąsiadkom - Ukrainkom, które zabrały go do siebie jako rzekomo dziecko ukraińskie.

Relacja Władysława Rachańskiego: Działo się to już po zamordowaniu w lipcu 1941 r. kilku Polaków w naszej wsi. Policja ukraińska aresztowała: mego 18 -letniego brata Antoniego, Tomasza Sołtysa, Kazimierza Szpytko i Kazimierza Stachowicza, i po kilkudniowych przesłuchaniach odwiozła ich do więzienia w Czortkowie pod zarzutami nie oddania rzekomo posiadanej broni. Pod koniec lipca brat przysłał gryps informując rodzinę, że wobec braku dowodów na posiadanie broni, Ukraińcy wymyślili nowy powód: że jest komunistą i był członkiem "Komso-mołu". To fałszywe oskarżenie złożyli do gestapo Wołodymyr Jeremczuk i Stasiuk⁵, który służył w niemieckiej policji. Brat prosił aby go ratować, ponieważ grozi mu śmierć. Ze starszą siostrą Michaliną odwiedziliśmy brata w więzieniu. Od mieszkanki Czortkowa - Polki o nazwisku Kurkiewicz⁶ dowiedzieliśmy się, że z Polakami osadzonymi w czortkowskim

⁵ Stepan (przyp. I. K.)

⁶ Raczej Krukiewicz (przyp. I.K.)

więzieniu jest bardzo źle, ponieważ Ukraińcy dostarczyli gestapo fałszywych świadków oskarżających ich o komunizm.

Następnego dnia wybrałem się ponownie do Czortkowa. Pod murami więzienia stało już w kolejce dużo ludzi. Gdy znalazłem się przed bramą, poprosiłem wartownika (ukraińskiego policjanta) o przekazanie bratu paczki; odmówił twierdząc, że wielu więźniów wyjechało na roboty do Niemiec. Powiedział też, że o godz. 10-tej wywieszona zostanie lista wywiezionych.

Długo stałem wśród tłumu ludzi i usłyszałem, że nie do Niemiec, ale do Czarnego Lasu (pod Czortkowem) wywieziono w nocy wielu więźniów i wszystkich tam rozstrzelano.

Kilka dni później dowiedziałem się, że Niemcy wywieźli 22 - 23 sierpnia 1941 r. z więzienia czortkowskiego 250 osób różnej narodowości, i w Czarnym Lesie rozstrzelało ich gestapo wspólnie z ukraińską policją. Był wśród nich mój brat - Antoni Rachański, Tomasz Sołtys, Kazimierz Stachowicz i Kazimierz Szpytko.

Mówi Kazimierz Sołtys, s. Bazylego: 3 lipca 1941 r. przyjechało do Skorodynie 5-ciu sowieckich żołnierzy po konne podwozy dla potrzeb wojska. Na godzinę przed ich przybyciem miejscowi Ukraińcy, jeżdżąc po wsi na koniach, ogłosili powstanie "Samostijnej Ukrainy".

Mój ojciec uciekł przed Sowietami aby nie zostać zabranym z podwodą i schronił się w pobliskim lesie. Tam spotkał swego szwagra - Ukraińca - Stepana Małańczuka, który pociągnął ojca w głąb lasu. Ku swemu zaskoczeniu ojciec zobaczył tam około 30 - tu uzbrojonych miejscowych Ukraińców, którzy ukryli się tu na widok sowieckich żołnierzy.

Ukraińcy nakazali Małańczukowi wrócić do domu, ojca zatrzymali. Poprowadzili go jeszcze około kilometra w głąb lasu i tam zamordowali. Oględziny odnalezionych zwłok wykazały, że wyrwali ojcu srebrne zęby (i zabrali je), bagnetem przedziurawili obie dłonie i odcięli głowę.

Krążyła potem po wsi wieść, że Ukrainiec - Antoni Bandura, zwany "Antyszko" przechwalał się, iż jednym cięciem szabli odciął głowę memu ojcu, która "spadła jak główka wróbla". W morderstwie tym pomagali mu: Petro Firman zwany "Szozda" i Mychajło Hapij⁷.

Zwłoki ojca odnalazłem ukryte pod gałęziami. Obok ciała leżała odcięta głowa. Zabraliśmy je z lasu w tajemnicy przed Ukraińcami i ukryliśmy w słomie w naszej stodole. Matka ojca poszła do przewodniczącego "Selrady" z prośbą o zezwolenie na pochowanie zwłok syna na polskim cmentarzu. Odmówiono jej i polecono zakopanie zwłok tam gdzie leżały. Po tygodniu skrzynkę z rozkładającymi się już zwłokami znajomy Ukrainiec Sztokarski podjął się przewieźć i zakopać na cmentarzu.

⁷ Ten "etatowy" morderca brał również udział w uśmierceniu mojej ciotki - nauczycielki Marii Wałkówny (przyp. I.K.)

Kiedy odwiedziłem w 1978 r. Skorodyńce, wstąpiłem do dawnego sąsiada. Żył wtedy jeszcze i pokazał mi miejsce pochówku ojca.

W niedzielę 7 lipca 1941 r. wkroczyli do wsi Niemcy, a w poniedziałek pognali dalej na wschód. Pod wieczór 8 lipca Mychajło Hapij i Petro Firman ("Szozda") zabrali brata mego ojca - Tomasza Sołtysa do ukraińskiego domu ludowego, gdzie go przesłuchiowano stosując tortury i i żądano oddania karabinu, którego w rzeczywistości nie posiadał. Po całonocnym przesłuchiwaniu zwolniono stryja do domu, nakazując zgłosić się następnego wieczoru. Zamiast uciec, stryj zgłosił się do Ukraińców ponieważ nie czuł się winny. Tym razem bito go znacznie dotkliwiej i skakano po leżącym butami. Następnego dnia odstawiono zmalretowanego do więzienia w Czortkowie, razem z Antonim Rachańskim, Kazimierzem Szpytko i Kazimierzem Stachowiczem. Trzymano ich w więzieniu 6 tygodni. Wobec braku dowodów na posiadanie broni, gestapo postanowiło ich zwolnić. Wówczas Mychajło Hapij, Wołodymyr Jaremczuk i Stepan Stasiuk złożyli fałszywe oświadczenie, że tych czterech Polaków jest komunistami. Gestapo im uwierzyło i wydało wyrok śmierci. W nocy z 22 na 23 sierpnia 1941 r. zostali rozstrzelani w Czarnym Lesie k. Czortkowa wraz z innymi więźniami. Wśród rozstrzelanych przeważali Polacy, ale byli w tej grupie także Żydzi i Ukraińcy oskarżeni o komunizm.

Wiktor Szatkowski, syn Anny (zamordowanej 8 marca 1945 r.) - *W marcu 1945 r. chowaliśmy się każdego wieczoru na noc przed banderowcami, gdzie się dało, najczęściej w sadach wśród zarośli lub u dobrego sąsiada - Ukraińca, który nie odmówił schronienia..*

7 marca ukryłem się u sąsiada⁸ już wczesnym wieczorem, a po pewnym czasie dołączył do mnie ojciec. Mama, 6-letni brat Eugeniusz i dziadek pozostali tym razem w domu. Rano usłyszałem rozmowę gospodarzy o dokonanych we wsi morderstwie. Chciałem zaraz wracać do domu, ale ojciec mnie zatrzymywał. Pobiegłem jednak do domu bez jego zezwolenia. Drzwi były otwarte, a na środku izby leżały zwłoki mojej Matki i małego brata. Oboje mieli roztrzaskane głowy od rozrywających kul. Mama musiała także otrzymać kilka ciosów twardym narzędziem. Dziadka w mieszkaniu nie znalazłem.

Powiadomiłem o wszystkim ojca. Na pochówek nie było czasu, bo banderowcy mogli powrócić po nas. Obaj uciekliśmy do Czortkowa. Tu dowiedzieliśmy się, że dziadek żyje i przebywa w szpitalu. Odwiózł go tu któryś z sąsiadów - Ukraińców.

Z relacji dziadka dowiedzieliśmy się, że kiedy do mieszkania wpadli banderowcy i zamordowali Mamę i brata, to ranili też ciężko dziadka, tak że stracił przytomność. Sądzili pewnie, że już nie żyje i ściągnęli mu buty. Po ich odejściu dziadek odzyskał przytomność, zobaczył co się stało,

⁸ W "Na Rubieży" , nr 45 popełniono błąd podając datę 17 zamiast 7 marca. (Przyp. red.).

szybko opuścił mieszkanie i schronił się u sąsiada - Ukraińca. To on właśnie odwiózł dziadka do szpitala.

W 1996 r. odwiedziłem Skorodyńce i starałem się dowiedzieć u miejscowych Ukraińców, gdzie zostali pogrzebani moi najbliżsi. Niestety nikt nie udzielił mi tej informacji, choć było mi wiadome, że to oni grzebali w 1945 r. pomordowanych Polaków. Bali się. Zarówno z uwagi na swych sąsiadów - banderowców, jak i NKWD. Nie byli w tym czasie jeszcze pewni swej przyszłości.

Dlatego do dziś nie wiem gdzie spoczywają kości mojej Matki i brata.

Stanisława Czarnecka (z domu Szatkowska) wspomina: Pierwsze morderstwo w naszej miejscowości miało miejsce w nocy z pierwszego na drugi dzień Świąt Wielkanocnych 1941 r., dokonali go miejscowi banderowcy.

Maria Wałkówna - polska nauczycielka pochodziła z Czortkowa, a pracowała w szkole w Skorodyńcach. Wróciła z domu do wsi tuż przed wieczorem pierwszego świątecznego dnia. Wyszłam z koleżankami na jej powitanie zupełnie przypadkowo. Wyznała nam wówczas, że jej przedwczesny powrót spowodował zły sen z ostatniej nocy. Śniło jej się mianowicie, że bandyci ze wszystkiego ją ograbili.

Po powrocie do wynajmowanego we wsi pokoju udała się na spoczynek. Późnym wieczorem ktoś zaczął dobijać się do jej okna. Zaniepokojona przeszła do mieszkania Andrzeja Sawickiego (u którego mieszkała), aby powiedzieć mu o tym. Tak mówił mi on sam po jej śmierci. Kiedy nauczycielka była u Sawickiego, weszli do niego banderowcy. Poczęstowała ich wtedy słodyczami i papierosami, z czego byli bardzo zadowoleni. Pod koniec spotkania zapewnili ją, że może spać spokojnie, bo oni pełnią wartę i nic złego się nie wydarzy.

Gdy wyszła z mieszkania Sawickiego, banderowcy zadrutowali jego drzwi, weszli do pokoju nauczycielki i dokonali morderstwa. Słychać było jej rozpaczliwy krzyk. Sawicki nie mógł otworzyć swoich drzwi, więc otworzył okno, krzyczał i prosił o ratunek. Sąsiedzi przybiegli i pozostali do rana na podwórku. Ale było już za późno.

Mordercami byli: Mykoła Hapij i i Anton Szewciw. Ci sami, którzy zapewniali nauczycielkę, że nic złego jej się nie stanie.

Wczesnym rankiem pojawiła się sowiecka policja. Wraz z innymi ludźmi weszłam do pokoju nauczycielki. Zamordowana leżała na łóżku. Ciosy zadane były nożem: w szyję, piersi i inne części ciała. Krew tryśnęła aż na sufit. Zbryzgane były też ściany.

Nauczycielka Maria Wałkówna cieszyła się w naszej miejscowości autorytetem. Środowisko bardzo ją lubiło. Była życzliwa i miła dla otoczenia szkolnego i dla wszystkich mieszkańców wsi.

To zabójstwo było ciężkim przeżyciem dla nas wszystkich - Polaków. Postanowiliśmy wziąć udział w pogrzebie. Pochowana została w Czortkowie, w rodzinnym grobowcu Kotowiczów. W moim domu wykonaliśmy wieniec, a w Czortkowie kupiliśmy szarfę z napisem "Ostatnie pożegnanie". Na pogrzebie było nas 24 osoby młodych Polaków ze Skorodynec. Od początku przygotowań do pogrzebu byliśmy obserwowani bacznie przez banderowców. Dali nam później odczuć swoje niezadowolenie.

Wraz z siostrą Jadwigą zostałyśmy przez nich przetrzymywane i bite. Najpierw zamknięto nas w kurniku u Ukraińca Kozara, a później przeprowadzono nas do piwnicy ukraińskiego domu ludowego, gdzie torturowano i zabijano Polaków. Czekaliśmy tu na sąd. Aż przyszło 25 Ukraińców jako skład sędziowski. Czekano na prokuratora, którym był nauczyciel - Ukrainiec o nazwisku Krisa. Pochodził ze wsi Biała pod Czortkowem.

Przez otwarte okno pomieszczenia sędziowskiego słyszałam przebieg narady. Jedni mówili: "pozabijać, niech się nie włączą między Ukraińcami!", drudzy ich przekrzykiwali: "dobrze zbić i puścić!". W międzyczasie przyszedł tam "hołowa seła" - Łuc Małańczuk, nasz sąsiad. Poznałam go po głosie. On stanął w naszej obronie: "Ja nic złego w nich nie widzę. Mieszkam w ich sąsiedztwie od wielu lat i stwierdzam, że nic złego nikomu nie zrobili. Proszę, aby je wypuścić".

Zabrał też głos Mychajło Romaniuk i on też potwierdził opinię Małańczuka i wnioskował aby nas wypuszczono. I w ten sposób ocalałyśmy.

Piwnica, w której nas zamknięto i w której mordowano Polaków była straszna. W jednym kącie leżał stos kawałków chleba, w drugim dużo butów, w trzecim moc ubrań. Pośrodku było dużo zastygłej krwi. Miałyśmy nogi ubrudzone tą polską krwią.

Modląc się na różańcu myślałam o strasznym zakończeniu mego życia. Ale dzięki pomocy Matki Bożej zostałyśmy z siostrą uratowane.

Dziękując p. Stanisławie za informacje o mojej zamordowanej krewnej informuję, że dokonałam korekty dwóch dat:

Siostra mojej Matki zamordowana została w 1941 r. a nie w 1940 r; UPA zaś powstała w 1942 r., zatem na wiosnę 1941 r. byli to mordercy z banderowskiej frakcji OUN.

Kazimiera Wierzbicka-Augustyniak
Jastrowie

“Bo taki to los Podolan...”⁹

Moi rodzice, Anna z Ziobrowskich i Jan Wierzbiccy, urodzili się w Chomiakówce koło Jagielnicy¹⁰. Zakupili tam działkę i wybudowali dom pod nr. 31, wykończony w 1938 roku.

Mama pracowała przez pewien czas w sklepie Kółka Rolniczego w Jagielnicy, a następnie w Zakładzie Tytoniowym. W czasie wielkiego kryzysu światowego, który dotknął również nasze społeczeństwo, Mama musiała z fabryki odejść. Zajęła się prowadzeniem domu, wychowaniem dzieci i nadzorowaniem budowy nowego domu. Ojciec po ukończeniu czynnej służby wojskowej podjął pracę w fabryce. (On właśnie tam pozostał, a Mamę zwolniono).

Rodzice nie posiadali wykształcenia, nawet pełnego podstawowego, ale byli ludźmi światłymi. Dużo czytali, pracowali społecznie, a Ojciec był w Chomiakówce komendantem “Strzelca” i zajmował się sportem (narciarstwem). W naszym domu grano w szachy, które Ojciec uwielbiał i miał stałych partnerów. A ja umiałam czytać już w wieku 4 lat.

Szczęśliwie żyło się rodzinie do 1 września 1939 r., potem wszystko runęło. Już około 20 września przyszli do naszego domu Sowieci, i zabrali Tatę, a mieszkanie i obejście podczas rewizji “przeorali”. W Chomiakówce aresztowano wówczas kilkudziesięciu Polaków. Przetrzymano ich przez cały dzień z powiązanymi rękoma w dole, nad którym ustawiono karabiny maszynowe. Wieczorem zostali zwolnieni. Podobno Polacy strzelali do samolotów sowieckich i dlatego ich aresztowano. Była to po prostu zemsta Ukraińców. (Ojca np. wydał nasz sąsiad).

Zimą 1939/40 r. przeżyliśmy pełni trwogi, że zapukają nocą i wywożą nas jak tyle innych rodzin na Sybir. Udało się nam jednak pozostać. Gdy rodzice mieli już nadzieję, że jakoś piekło to przeżyjemy, 15 czerwca 1940 r. znowu przyszli nocą po Ojca. Było to straszna noc dla całej Jagielnicy i sąsiednich wiosek. Aresztowano wówczas około 100 Polaków.

Dwa dni później Mama moja urodziła braciszka. Miałam wtedy już młodszą siostrę. Jeszcze dziś gdy o tym myślę, to płaczę. Ile ta moja dzielna Matka wycierpiała. Ja, najstarsza, miałam 8 lat, siostra 2 lata a brat - niemowlę. Została sama z trojgiem małych dzieci.

Nie wywieźli nas na Sybir, ale Matka więcej czasu spędzała pod czortkowskim więzieniem niż w domu. Po sześciu miesiącach ojciec wrócił - był to cień człowieka.

⁹ Jest to fragment wspomnień Kazimierzy Augustyniak, napisany przez Bogdana Turskiego ze Szczecina, na podstawie jej listów z lat 1993-1999. Na ich wykorzystanie Autorka wyraziła zgodę. (Przyp. red.).

¹⁰ Druga wieś w pow. czortkowskim o tej samej nazwie Chomiakówka znajduje się w pobliżu wsi Kosów. (Przyp. red.).

Następne lata (1941-1945) - to dalsza walka o przetrwanie i ukrywanie się przed banderowcami.

W maju 1944 r. po tzw. wyzwoleniu nas przez Sowietów, ojciec (jak wszyscy Polacy w wieku od 18 do 50 roku życia), powołany został do wojska. Wtedy jeszcze nie było wiadomo do jakiej armii. Później dowiedzieliśmy się, że w Sumach na Ukrainie formuje się Polskie Wojsko. (Po tych sformowanych w Sielcach nic prawie nie pozostało).

I znowu Mama pozostała z trójką dzieci sama, ale rąk nigdy nie załamywała. Sprzedała wszystko na co znalazł się kupiec, aby tylko uchronić nas od głodu. Chodziła pieszo do Czortkowa lub Tłustego, i tam "handlowała". W lecie 1944 r. panowała u nas epidemia czerwonki. Pochorowało się także moje młodsze rodzeństwo. Choroba kosła dzieci wokół, ale nasza Matka sprowadziła (sobie tylko wiadomymi sposobami) sowiecką lekarzkę i moje rodzeństwo wyzdrowiało.

W tym czasie nasiliły się napady banderowców. Część Ukraińców ukryła się w lasach i nie poszła do Czerwonej Armii. Nie nocowaliśmy więc w domu, każde z nas przebywało gdzie indziej - u zaprzyjaźnionych sąsiadów lub krewnych.

Po Nowym Roku (1945) wydarzył się incydent, po którym Matka postanowiła zupełnie dom opuścić. Przyszli bowiem w biały dzień bandyci, przebrani za sowieckich żołnierzy i "oficjalnie" zabrali ze sobą sąsiada, 25-letniego Tadeja Huczka, który - będąc częściowo inwalidą - do wojska nie poszedł. Najprawdopodobniej był łącznikiem banderowców, gdyż poruszał się swobodnie na podstawie urzędowej przepustki. Dużo do myślenia dało także to, że "uprowadzono" go nie w kierunku Nagórzanki, gdzie mieściło się NKWD, ale w głąb Chomiakówki. Jego nazwisko znalazłam po wojnie na tablicy "bohaterów poległych za wolną Ukrainę", umieszczonej na pomniku "żołnierzy UPA" na czortkowskim cmentarzu. Ale z jego siostrą przyjaźnię się do tej pory i odwiedzam ją, ilekroć jestem w tamtych stronach.

Po opuszczeniu domu zamieszkaliśmy u siostry Mamy w Nagórzance, w pobliżu fabryki. Do Polski wyjechaliśmy w sierpniu 1945 r. Osiedliliśmy się w Sulechowie, jak większość Jagielniczan. Ojciec powrócił z wojny chory na malarię. Miał jeszcze kilka ataków. Zmarł w 1957 r. Ja z mężem i dwójką dzieci wyjechaliśmy w 1960 r. do Jastrowia, gdzie mieszkam dotychczas.

Przez wiele lat nie byłam na Podolu i dopiero w 1977 r. zobaczyłam po raz pierwszy mój dom rodzinny. Ale nie miałam ochoty oglądać go od wewnątrz. Mieszkali tam teraz Ukraińcy spod Przemyśla. Mój mąż - poznaniak - zachwycał się podolskimi krajobrazami, które zobaczył po raz pierwszy. Zmarł pół roku później. Zmarła też tragicznie moja młodsza siostra i Matka w wieku 84 lat. Druga siostra

mieszka w Żaganiu, brat w Sulechowie, syn w Pile, a córka w Poznaniu. Jak większość polskich rodzin kresowych żyjemy rozproszeni po całym kraju. Bo taki to już los Podolan...

Załączona fotografia przedstawia nasz powrót ze szkoły. Ja (z lewej) i koleżanka Kazimiera TYLNA stoimy na tle ruin pożydowskich domów. Na dalszym planie wieża kościoła, który obecnie jest mozolnie restaurowany, przy finansowym wsparciu Jagielniczan z Polski oraz dotacji prof. Karoliny Lanckorońskiej z Rzymu. (Jagielnica była kiedyś własnością rodu Lanckorońskich).

W sierpniu wyjadę z wycieczką Klubu "Podole" TML i KPW w Warszawie na Podole i będę w Jagielnicy na tradycyjnym odpuszcie w dniu 15 sierpnia w święto Wniebowstąpienia Matki Bożej.

Lesław Obmiński
Warszawa

Prawda o trembowelskich pamiątkach historycznych

Można dziś spotkać się w kraju z twierdzeniem, że polskie pamiątki historyczne na Podolu pozostały i nikt ich nie niszczy. Tak np. twierdzi Ludwik Stomma w tygodniku "Polityka" (z 15.II.1997) w artykule zatytułowanym "Moja Ukraina". Pisze on: *Byłem zdumiony, już o tym zresztą pisałem, jak zachowały się na Podolu pamiątki historyczne. Owszem, w Trembowli na tablicy pomnika Anny Doroty Chrzanowskiej (polskiej obrończyni miasta w 1675 r.) widać ślad po kuli, ale świadczy to, że był to wybryk indywidualny. Bo pomnik stoi.*

Nie jest to zgodne z prawdą. Pozostał jedynie obelisk, a pomnika nie ma. A co z resztą trembowelskich pamiątek?

1. Z chwilą powstania w mieście Gniazda Sokolego w 1892 r. dążono do posiadania własnego budynku. W początku XX w. zbudowano więc gmach "Sokoła", w którym znajdowała się sala gimnas-

tyczna i ładna sala teatralna. W tej pierwszej odbywały się także zebrania, okolicznościowe akademie i różne spotkania, a w drugiej raz w miesiącu gościł "Teatr Pokucko-Podolski", przemianowany później na "Teatr Małopolski". Dawał on w mieście z reguły dwa przedstawienia: popołudniowe - dla młodzieży gimnazjalnej, a wieczorem - dla dorosłych widzów.

W części frontowej budynku znajdował się w latach 30-tych kamienny sokół. Wkraczającym 17 września Sowieci sokół skojarzył się zapewne z orłem "pańskiej Polski", więc zrzucili go z budynku i rozbili młotem na drobne kawałki.

2. Obok gmachu "Sokoła" znajdował się ogród z pięknym pomnikiem "Ku czci Bartosza", który pochodził z Trembowli, a odznaczył się w bitwie pod Grunwaldem. Zniszczony został podczas przewrotu ukraińskiego w 1918 roku.

3. Na frontowej ścianie środkowego budynku gimnazjum (które składało się z trzech budynków), wmurowano w 1934 roku pamiątkową tablicę ku czci uczniów i absolwentów szkoły, poległych na frontach wojennych w latach 1914-1920.

Wewnątrz budynku natomiast, mieszczącego dyrekcję i pracownię fizyczno-chemiczną, wmurowano po śmierci marszałka Piłsudskiego po-

święconą Mu tablicę. Pierwszą - władze sowieckie zniszczyły pod koniec 1939 roku, nakładając na nią cementowy tynk, drugą rozbito.

4. Na przedłużeniu wzgórza zamkowego znajdował się park miejski, łączący się z lasem, a u podnóża ruin zamku usytuowano pomnik Anny Doroty Chrzanowskiej, dłuta trembowelskiego rzeźbiarza N. Bochenka. Przedstawiał postać kobiecą o dumnym obliczu, która w jednej dłoni zaciskała wyrwany z za pasa sztylet, a drugą wskazywała na miasto.

Pomnik ten zburzył w 1944 roku nacjonalista ukraiński **Dańko Dziubak**.

5. Okupacje (sowiecka i niemiecka) przyniosły zniszczenie trembowelskich bibliotek.

W 1940 r. zniszczona została wielce zasłużona dla społeczeństwa placówka Tow. Szkoły Ludowej (TSL). Zasoby tej biblioteki zostały w okresie międzywojennym znacznie powiększone staraniem p. Ireny Komorowskiej, żony późniejszego generała "Bora", który w owym czasie był dowódcą stacjonującego tu 9 Pułku Ułanów Małopolskich.

W męskiej szkole powszechnej mieściła się biblioteka naukowa. Przetrwała pierwszą okupację sowiecką, ale w czasie okupacji niemieckiej zniszczył ją (spalił!) nauczyciel kierujący szkołą ukraińską, tylko dlatego, że pisane były po polsku.

6. Kościół parafialny. W albumie fotograficznym poświęconym jednemu z województw Radzieckiej Ukrainy - Tarnopolszczyźnie (wyd. Kijów 1987 r.) na str. 104 znajduje się fotografia z podpisem: "Ulubione miejsce odpoczynku trembowlan - Powiatowy Budynek Kultury".

Zapewne dla dzisiejszych mieszkańców Trembowli obiekt ten ma taki właśnie charakter. Ale dla nas - wysiedlonych z Trembowli przez porządek jałtański - obiekt ten nadal jest Domem Bożym.

Przeprowadzenie zmian w architekturze kościoła i przeznaczenie go na dom kultury to nie tylko przejaw walki z religią, ale świadome, celowe niszczenie świadectw łańciskiej i polskiej kultury na tej ziemi.

Istniały w okresie międzywojennym w Polsce tylko dwa takie kościoły w stylu rzymskiej bazyliki - w Wilnie i Warszawie. Trzeci - zbudowano w Trembowli.

Piękno trembowelskiej świątyni podkreślał kwadratowy plac przed jej frontem, otoczony kolumnadą z ciosanego kamienia, pośrodku którego wznosiła się duża figura Chrystusa. Figury tej na szczęście nie zniszczono, gdyż została na jakiś czas ukryta i dziś znajduje się na cmentarzu.

7. Osobnym zagadnieniem jest niszczenie nazw geograficznych, poprzez bezprawne wprowadzanie w nich zmian.

Nazwę rzeki, nad którą leży Trembowla, Ludwik Stomma zmienił z Gnieznej na Wniezną, a w wydanej przez MON (w 1971 r.) "Małej Ency-

klopedii Wojskowej” przemianowano ją (pod hasłem “Trembowla”) na “Hniezną”.

Jan Raniczkowski
Wymiarki

Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim **Cz. XIV (ostatnia)**

Czas zakończyć swoje wspomnienia, więc jeszcze o kilku sprawach - jako uzupełnienie do tego, o czym dotąd pisałem.

W dzisiejszym dniu, tak wielkiej uroczystości Ak-owskiej, ogarnia mnie całego wzruszenie. Byłem na mszy w naszym kościele, jedyny w mundurze, i biało-czerwoną opaską na ramieniu. Spozierano na mnie ze zmarszczonym czołem, nieprzychylnie dla AK.

Tak chciałbym być w gronie prawdziwych AK-owców, przecież nie darmowałem nawet w PRL-u. Tyle było tych nieprzespanych, przejeżdżonych w pociągach nocy w okresie stalinowskim, tyle szukania ludzi... ze Zbaraża, Czortkowa i innych. Chciałbym się przełamać i wstąpić do tego ŚZZAK pomimo, że przez tyle lat nikt (poza ppłk. P. Woźniakiem) nie zjawił się w Częstochowie pod trzymaną przeze mnie tablicą z napisem “TARNOPOL”, a dzisiaj jest ich aż tylu... Może byłbym tam potrzebny, a tak jestem sam.

Znalazłem również kilku ludzi ze Złoczowa, którzy mieli tam kontakt z Michałem Hotwathem - “Kmicicem”, i na jego ręce składali przysięgę.

Od żony Czesława Kowalów, ps. “Franek” dowiedziałem się, że był on w złoczowskim Baudinście. Potem od niego samego, że był razem z Romanem Mudrakiem i Kazimierzem Sobczyńskim, (czwartego nazwiska nie zapamiętałem). Wszyscy trzej mieszkali po wojnie w Wymiarkach i byli tak wierni swej przysiędze, że nie ujawnili nawet nazwiska “Kmicica”.

Czesław Kowalów opowiadał, jak z podziwem patrzył na odwagę “Kmicica”, który lekceważył Niemców; Roman Mudrak uważał Horwatha za *bardzo odważnego polskiego wywiadowcę*. Nie mogli zrozumieć, że chodząc w polskim oficerskim mundurze, był “kimś” w Baudinście, którego naczelnikiem był Niemiec-staruszek.

Wymienieni koledzy byli zaprzysiężeni przez “Kmicica” wewnątrz Baudinstu. Takich chłopców było więcej, ale skrywała to tajemnica. Kiedy działo się “coś” w mieście, “Kmicic” zabraniał wychodzić im na ulicę. Dlaczego? Nie wiedzieli. *Bo “Kmicic” wiele z nami nie rozmawiał, ale*

dbał o nas i był dla nas jak kolega - mówił Mudrak. Mudraka zaś każdego rana zabierał po zbiórce jako "kranka" (chorego) do swego pokoju z tajnymi dokumentami. Zamykał go tam na klucz (nawet dziurka od klucza była zaklejona) i nakazywał otwierać wyłącznie na umówiony sygnał: trzykrotne 3 krótkie pukania. Niekiedy przychodzili, pukając w ten sposób, ludzie w niemieckich mundurach żandarmerii, wysokich stopni wojskowych. *Niemcy oddawali im nawet honory, ale ja wiedziałem* - mówił Roman - *że to są AK-owcy. Przynosili pocztę, którą chowałem do poduszek. Gdyby Niemcy ją znaleźli, to by mnie rozstrzelali.*

Gdy sowieci zbliżali się w 1944 roku do Złoczowa, to starsuszek-Niemiec nie mógł już uciekać swoimi konikami i bryczką, bo mu ją AK-owcy zabrali. Zwiął, zatrzymując jakiś przygodny samochód. Natomiast "Kmicic" rozpuścił chłopców dopilnowując ich wyjazdu, a Romana Mudraka jako ostatniego odprowadził do pociągu i wskazał gdzie ma po drodze wysiąść, nie dojeżdżając do samego Lwowa. Dzięki temu Mudrak uratował się. Sądził, że "Kmicicowi" także się to udało, ponieważ *był bardzo bystry i sprytny*¹¹.

Żałuję teraz, że spaliłem notatki łączniczki ze wsi Lackie Małe za Złoczowem, która pracowała w szpitalu i doręczała "majorowi" listy oraz ewidencję osób należących do konspiracji. (Ppłk Woźniak twierdził, że nie było tam nikogo w stopniu majora). Spaliłem te notatki dlatego, że łączniczka złamała przysięgę i dała się "uwieść" Świadkom Jehowy. To mnie bardzo rozgniewało.

Miałem zamiar zgłosić prenumeratę "Głosów Podolan" do naszej biblioteki w Wymiarkach, ale już wiem, że się tu nie przyjmą. Mieszka tu dużo rodzin mieszanych, a nie wszyscy ludzie cenią prawdę historyczną...

¹¹ Michał Horwath, ur. 24.09.1914 w Gajach Chodorowskich k. Tarnopola, absolwent II Państw. Gimn. im J. Słowackiego w Tarnopolu. Z zawodu prawnik. Jako pchor. rez. WP brał udział w kampanii 1939. W 1942-44 żołnierz AK Obwodu Złoczów. Mianowany ppor. rez. piech. został z-cą Komendanta Obwodu "Groma", a pod koniec 1943 objął stanowisko K-ta Obwodu (ps. "Michort", "Kmicic"). W pozostałej nadal pod okupacją niemiecką części Okręgu AK Tarnopol, odtworzono oddziały 12 Dyw. Piechoty, m. in. 52 pp (Strzelców Kresowych) w składzie ośmiu kompanii, którymi dowodził "Kmicic" podczas akcji "Burza" w rejonie Złoczowa-Zborowa-Buska. We wniosku odznaczeniowym z lipca 1944 na Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami dla K-ta Obwodu ppor. "Kmicica" podkreślano, że potrafił utrzymać kompanie w bardzo dobrym stanie moralnym i bojowym. W XI 1944 skierowano "Kmicica" na zwolnione stanowisko k-ta Obwodu AK Buczac. W II 1945 Horwath został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Czortkowie, po czym zesłany na 15 lat łagru do Workuty. Powrócił do kraju ze zniszczonym zdrowiem w 1956 r. na podstawie amnestii dla Polaków. Zmarł po długiej i ciężkiej chorobie w 1984 roku we Wrocławiu. (Przyp. red.).

Już się trochę uspokoiłem odnośnie planów przyszłego kościoła w Tarnopolu, którego projekt widziałem na okładce "Głosów". W pierwszej chwili buntowałem się, że "wygnali" go aż za boisko.

W 1933 roku z tęsknoty za Tarnopolem (po wyjeździe na wieś do Anielówki) napisałem wierszyk "Czyściutka ma miścina". Wspominam w nim miejsce, gdzie wieża kościoła mieniła się w słońcu i stał pomnik Mickiewicza, obok którego co niedzielę orkiestra 54 pp grała marsza, a oddziały żołnierzy przechodziły przed pomnikiem defiladowym krokiem i wchodziły do kościoła na nabożeństwo. Ten chłopięcy "utwór" brzmiał następująco:

Jedni stale chwalą Lwów,
drudzy piękno Warszawy,
ja jednak mój Tarnopol
kochany i wspaniały.

Czyściutka ma miścina.
Ulica uliczki przecina,
które mnie prowadzą
do szkoły, parku i kina.

W niej klomby kwiatów, zieleni...
Wieża w słońcu się mieni
dużego kościoła parafialnego,
naprzeciw parku małego.

Od pomnika Mickiewicza
dano nazwę tej ulicy.
I właśnie tutaj się czuję
panem mojej stolicy.

Patrząc teraz na ten piękny projekt kościoła uspokajam się, że lokum jest dobre, bo kościół będzie widać z daleka.

Oczyrna wyobraźni widzę dawne boisko, mały park, duży kopiec i piekarnię Koteckiego... W słoneczne, niedzielne popołudnie idziemy z Mamusią przez posiadłość p. Brygierki aż do stojącego w polu kopczyka. Idą z nami panie Winiarska i Sawicka, lśni w słońcu dojrzałe zboże, wabią w nim chabry i maki. Zrywam mały bukiet i cieszę się jego urodą. Panie siedzą na kocu i rozmawiają, częstując się czekoladą "Piaseckiego"... I przypomniałem sobie, że sąsiadem p. Brygierki był samotny pan Lasocki, który zapisał przed śmiercią swoją posiadłość miastu. I o tę właśnie posiadłość powiększył się tarnopolski park.

I tak płyną i płyną wspomnienia, tęskne wspomnienia z Tarnopola. Poruszony nimi napisałem list do kolegi ze szkoły Konarskiego - Leona Balika. (Jego ojciec był sołtysem w Romanówce i polskim patriotą).

Pisze mi Leon, że w owym czasie dyrektorem naszej szkoły był p. Gołębiowski, który jako oficer rezerwy został zmobilizowany w 1939 roku i prawdopodobnie zginął w Katyniu. Pisze mi także, że w czasie okupacji zabrali go Niemcy do Baudinstu i razem z kolegami kwaterowali właśnie w naszej szkole. Gdy Niemcy zaczęli "dawać im w kość", chłopcy zorganizowali ucieczkę. Niestety, Niemcy uciekinierów wyłapali i "dla przykładu" ośmiu z nich rozstrzelali. Pozostałych wywieźli do Zbaraża, w okolicy którego kopali bunkry i okopy dla ukraińskiej dywizji SS-Hałyczyna. Tam wiosną 1944 "oswobodzili" ich Rosjanie.

Wspominając szkołę Konarskiego, przypomniałem sobie nazwiska moich nauczycieli. Religii uczył ks. Łukasz Szuba, j. polskiego p. Doliński, matematyki, rysunków i j. niemieckiego p. Lewcun, przyrody, fizyki, chemii i geografii p. Kamiński, a historii p. Czabanowska. W moim czasie do szkoły tej chodziły tylko dzieci patriotów polskich, więc atmosfera była w niej wspaniała.

Na zakończenie chcę jeszcze napisać o odnalezionej w ZSRR rodzinie. Tej która po naszej ucieczce w 1924 roku z Kamieńca Podolskiego do Polski, musiała w "raju" sowieckim pozostać. (Zainteresowanych tą tragiczną historią odsyłam do nr. 31 i 33 "Głosów").

Pisałem tam, że nie wiem co stało się z rodziną wuja Mariana, najmłodszego brata mojej Matki, którego szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkała w 1944 roku na drodze pod Stupkami w mundurze żołnierza Armii Czerwonej.

Wujek Marian miał dwoje dzieci: Marię i Mikołaja. Sądziłem, że sowieci albo ich gdzieś wywieźli albo zamordowali. Tymczasem w 1986 roku otrzymałem krótki list od męża Marii - marynarza, w którym zapowiedział swoją wizytę gdy jego statek w powrotnej drodze z Francji zatrzyma się w Gdańsku. Do wizyty jednak nie doszło, ponieważ postój w porcie okazał się za krótki. W następnym roku wysłałem im do Leningradu urzędowe zaproszenie.

Goście przyjechali pięknym zagranicznym samochodem, w którym - jeszcze tej samej nocy - dokonano kradzieży, chociaż pozostawiony został "w bezpiecznym miejscu pod siedzibą PZPR" w Opolu. Stamtąd przyjechali do Wymiarek, przemilczając delikatnie sprawę kradzieży. (Żeby mogli spać spokojnie, samochód postawiliśmy na podwórzu pod oknem ich pokoju).

27 października 1987 roku odbywał się w Wymiarkach ludny i bardzo uroczysty odpust w nowobudowanym kościele. Nasi goście przyglądali się obrzędowi ze zdumieniem, o wszystko dociekliwie pytali, na koniec Maria podsumowała swoje wrażenia: *ja jeszcze etoho nie widala*. Gdy wierni klękali lub żegnali się oboje czynili to samo z wielkim przejęciem, a potem złożyli dość znaczną (jak na owe czasy) ofiarę na Dom Boży w dziękczynnej intencji, że mogli uczestniczyć w tej uroczystości. Potem pojechali do Krakowa, gdzie Maria nakupiła mnóstwo książek Lenina.

W 1998 roku napisała mi Maria, że w Spiczyńcach zmarła jej matka, a w Leningradzie brat Mikołaj. (Po powrocie z Polski nie chciał się leczyć, podobnie jak jego ojciec). *Tylko Ty, Janek, pozostałeś nam z rodziny* - zakończyła Maria swój smutny list. Natomiast syn Mikołaja i jego żona nie przyznają się do rodziny w Polsce i nie piszą do nas.

Gdyby tak jeszcze można było odnaleźć dzieci wuja Ludwika, który mnie i mego brata Staszka przeniósł w 1924 roku na własnych rękach

do Polski!... Ale czy w ogóle je miał? Nigdy już nie dowiem się tego, ani też co stało się z nim samym...

Eugeniusz Jaworski
Żagań

O tragedii Wiśniowca - w relacji F. Markowskiego, b. żołnierza Samoobrony w Kretowcach

W odległości 4 km od Zbaraża znajdowały się dwie polskie wioski - Kretowce i Hrycowce. Podczas okupacji niemieckiej ludność obu tych wiosek podwoiła się, w związku z napływem uciekinierów z Wołynia i okolicznych wsi. Wielu ludzi uciekło tu przed banderowcami z Nowego Rogowca, Klebanówki, Stryjówki, Łubianek i innych miejscowości. Przybyli także ze swymi rodzinami żołnierze Samoobrony z Wiśniowca.

O tragicznych wydarzeniach w Wiśniowcu opowiedział Markowski naoczny świadek, pan Gąska, który po ucieczce stamtąd zamieszkał wraz z żoną i dzieckiem w ich domu w Kretowcach.

Tuż obok Wiśniowca znajdowała się kolonia osadników wojskowych. W okresie nasilającego się zagrożenia ze strony banderowców, osadnicy zorganizowali własną samoobronę w młynie wodnym. Od niemieckich władz okupacyjnych otrzymali trochę broni i niewielką ilość amunicji. (Niemcom młyn był potrzebny).

Młyn był trudno dostępny, z trzech stron oblewała go woda, a dostać się do niego można było tylko przez most. Dawało to dużą szansę obrony chroniącej się w nim ludności polskiej. Naturalna przeszkoda i trochę uzbrojenia stwarzały nadzieję na przetrwanie każdego napadu. Czujność towarzyszyła obrońcom podczas dnia i nocy, a kiedy spodziewano się ataku (co poznawano po zachowaniu się ludności ukraińskiej), wzmacniali posterunki i wzmagali czujność.

Chroniło się na noc we młynie wiele rodzin, ale część ich kryła się także w wiśniowieckim kościele, który był murowany i posiadał potężne metalowe drzwi wejściowe. Zdawało się, że nie ulegną szybko zniszczeniu. Co noc kościół zapełniał się ludźmi, przychodziło także trzech księży.

O mającym nastąpić napadzie powiadomił Polaków jeden z miejscowych Ukraińców. Kiedy więc banderowcy przyszli w nocy do polskich domów, ani na kolonii, ani w mieście nie zastali w nich nikogo. Skierowali się zatem pod kościół i rozpoczęli atak. Pod drzwi podłożyli wiązkę granatów, a po ich wysadzeniu wyprowadzali z kościoła dzieci, kobiety i

starców i wrzucali ich do pobliskiej głębokiej studni. Dopełnili ją powiazanymi drutem duchownymi.

Po tej masakrze banderowcy udali się do młyna. Chcieli go zniszczyć, ale napotkali na zdecydowaną obronę ludzi z kolonii i z miasta. W tej nierównej walce wielu upowców zginęło od kul broniących się Polaków.

W tym czasie front się zbliżał, słychać już było odgłosy kanonady, na tyły frontu wycofywały się różne formacje wojskowe. Tuż pod Wiśniowcem znalazły się oddziały Własowców. Zaskoczeni nocną strzelaniną na tyłach frontu chcieli sprawdzić co się dzieje i natknęli się na atakujących banderowców. Ci zobaczywszy niemieckie wojsko, po prostu uciekli.

Ta okoliczność uratowała Polaków przed niechybną śmiercią, jako że zaczynało im brakować amunicji. Polacy wyjaśnili Własowcom sytuację i prosili, aby mogli pod ich osłoną dojść do Zbaraża. Dzięki temu ludzie, którzy schronili się w młynie, zostali z niego wyprowadzeni i doszli szczęśliwie do miasta. Część z nich zatrzymała się po drodze w Kretowcach i Hrycowcach, wzmacniając tym samym naszą samoobronę, ponieważ mężczyźni przyszli z bronią.

Samoobrona w obu naszych wsiach zorganizowana została przez AK-owców i istniała do chwili powołania ich do wojska. Potem zorganizowany został z młodzieży pododdział wartowniczy, który później nazwano "Istriebitielnym Batalionem". Dowodził nim nasz wójt ("hołowa") Szczepan Markowski.

Eugeniusz Jaworski
Żagań

Spotkanie po 55 latach b. żołnierzy Samoobrony z pow. zbaraskiego

20 sierpnia br. spotkaliśmy się w Klubie Garnizonowym Żagań - Las po 55 latach od wysiedlenia z rodzinnej ziemi zbaraskiej.

Przyjechali na to spotkanie żyjący jeszcze żołnierze Samoobrony polskiej w miejscowościach: Hrycowce, Kretowce i Stryjówka w pow. zbaraskim (woj. tarnopolskim). Przyjechali naoczni świadkowie tamtego okrutnego czasu, a zarazem uczestnicy walk z bandami UPA pod Kurnikami Iwaczańskimi, Kapuścińcami w Czarnym Lesie i Kujdańcami. (Na mapce w poprzedniej relacji znajdują się te miejscowości).

Przyjechali: Wiktor Partyka z Przemkowa, Zenon Bajik ze Świdnicy, Edward Gorący z Przecławia - uczestnicy walk w Czarnym Lesie (na pld.- wsch. od Kołodna); Władysław Sroka z Żar, który walczył pod Iwaczanami i Izydor Budzyna z Żar - uczestnik obławy w Łubiankach Niższych.

W spotkaniu wzięli również udział: Kazimierz Kraśnicki z Żar - żołnierz "uczastka" stryjowieckiego oraz Franciszek Markowski z Brzostowa i Eugeniusz Jaworski z Żagania - żołnierze Samoobrony w Kretowcach.

Czas spotkania wypełniły nam wspomnienia tego tragicznego dla Polaków czasu, podczas którego dni i noce spędzaliśmy na wartach, a broń musiała być stale w pogotowiu.

Za udział w obronie ludności polskiej na Kresach II Rzeczypospolitej - Krajowa Rada Żołnierzy Polskich Samoobrony odznaczyła wymienionych kolegów Krzyżem "Obrońcom Polskiej Ludności, 1944-1945".

Irena Kotowicz
Warszawa

Wyróżniony Czortkowiec inż. arch. Tadeusz Czajkowski z Brzegu

Prezes brzeskiego Koła ŚZŻAK - inż. Tadeusz Czajkowski otrzymał w ubiegłym roku od Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej jedno z najwyższych odznaczeń - Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

To wysokie odznaczenie jest nagrodą za wieloletnią aktywną działalność na gruncie zawodowym, społecznym i patriotycznym, ze szczególnym uwzględnieniem walki z niemieckim i sowieckim okupantem w okresie II wojny światowej.

Należy dodać, że nasz Kolega z Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czortkowie posiada już wiele odznaczeń i orderów oddających Jego zasługi dla kraju.

Jest wśród nich Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Walecznych, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki, Krzyż Więźnia Politycznego, Odznaka "Akcja Burza", Medal "Za Warszawę", Odznaka Weterana Walk o Niepodległość, Kombatancki Krzyż Zasługi, Medal za Zasługi dla Obronności Kraju, Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Odznaka - Wyróżnienie za wkład pracy społecznej w ŚZŻAK (poświęcona etosowi Armii Krajowej).

Oprócz powyższych odznaczeń inż. Tadeusz Czajkowski posiada wiele wyróżnień i podziękowań, a wśród nich dyplom "Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie umacniania więzi Polonii z Macierzą" - wręczony Mu za realizację budowy pięknego "Domu Polonii" w Pułtusku.

W imieniu własnym, grona Czortkowiec oraz członków Klubu "PODOLE", Redakcja składa Koledze Tadeuszowi Czajkowskiemu serdeczne gratulacje, i wyrażając radość z tak wysokiego wyróżnienia, przekazuje Mu życzenia dalszych osiągnięć w Jego pełnej oddania pracy społecznej oraz życzenia osobistej pomyślności.

WŚRÓD WYDAWNICTW

EDWARD GROSS

"Wojsko Polskie a bandyci z UPA". Wyd. Druk-Ar. Głogów, s 177.

Jest to odpowiedź Autora na oszczerstwa red. Pawła Smoleńskiego (pisującego w "Gazecie Wyborczej") pod adresem żołnierzy WP biorących udział w akcji "Wisła".

E. Gross rozmawiał o tej akcji z wieloma ludźmi - z przesiedlonymi Ukraińcami i żołnierzami WP, badał również dokumenty. W świetle zebranych materiałów intencje Pawła Smoleńskiego (absolwenta Liceum Ukraińskiego w Legnicy) stają się zupełnie jasne.

“Zbrodnie UPA”. Wyd. nakł. Autora, Głogów 1999, s. 452.

Książka powstała w oparciu o relacje ludzi, którzy przeżyli ludobójstwo na Wołyniu i Podolu. Jest dociekliwa, utrwała ważne fakty, bije z niej prawda. Ukazuje przy tym dwie grupy Ukraińców - zdziczałych barbarzyńców oraz ludzi uczciwych i wrażliwych. Władze nasze uznały, że poruszanie tych spraw stanowi przeszkodę w dobrosąsiedzkich stosunkach, lepiej zatem do przeszłości nie wracać. Autor nie zgadza się z takim stanowiskiem, uważa je za krzywdzące i niesprawiedliwe. I dlatego napisał tę książkę.

Obie pozycje przeczytaliśmy, oceniamy jako wartościowe i polecamy naszym Czytelnikom, jak też szerszemu gronu Polaków, jako, że wiedza na ten temat jest ciągle niepełna, niewystarczająca, a nawet bałamutna. Książki można nabyć bezpośrednio u Autora. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji, prześlemy je panu Grossowi.

STEFAN CIESIELSKI

“Przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich do Polski 1944-1947”. Wyd. NERITON, Warszawa 1999.

STEFAN BADENI

“Świat przedwczorajszy” (z przedmową prof. Karoliny Lanckorońskiej. Wyd. Krupski i Ska.

dr JÓZEF JUZWA

“Zagłada Czerwonogrodu” . Wyd. “Nieoficjalna Oficyna Wydawnicza” Bytom 1998.

LISTA OFIARODAWCÓW

Na działalność związaną z wydawaniem biuletynu:

- | | | |
|-----------------------|-------------|----------|
| 1. Władysław Bochenek | - Krotoszyn | 16.00 zł |
| 2. Władysław Kosowski | - Szczecin | 10.00 zł |

31

2. Józef Ruczyński - Warszawa 12.00 zł

Na kościół w Tarnopolu:

1. Ryszard Iwańczyk - Warszawa 50.00 zł

Na kościół w Czortkowie:

1. Jan Raniczkowski - Wymiarki 50.00 zł

Na kościół w Jagielnicy

1. Adela Donigiewicz - Warszawa 100.00 zł

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

SPIS TREŚCI

GOLGOTA WSCHODU	1
Kazimierz SIMON	
Z mojego pamiętnika - wspomnienia z lat 1940 - 1945. Cz. VII	2
Bogdan TURSKI	
Powrót do podolskich korzeni	6
Irena KOTOWICZ	
O tragedii w Skorodyńcach (pow. czortkowski) na Podolu. Cz. IV - ostatnia	10
Kazimiera WIERZBICKA-AUGUSTYNIAK	
Bo taki to los Podolan	17
Lesław OBMIŃSKI	
Prawda o trembowelskich pamiątkach historycznych	20
Jan RANICZKOWSKI	
Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim. (Wspom- nienia). Cz. XIV (ostatnia)	22
Eugeniusz JAWORSKI	
O tragedii Wiśniowca - w relacji F. Markowskiego, b. żołnierza Samoobrony w Kretowcach	26
Eugeniusz JAWORSKI	
Spotkanie po 55 latach b. żołnierzy Samoobrony z pow. zbaraskiego	28
Irena KOTOWICZ	
Wyróżniony czortkowianin inż. arch. Tadeusz Czajkowski z Brzegu	29
WŚRÓD WYDAWNICTW	29
LISTA OFIARODAWCÓW	30